

EMISSARYUSZ

TYGODNIK

organ. K. J.

pod Redakcją:

Promyka
i Feniksa.



Idzie z piosenką na ustach
 Przez śnieg wasy i nowe
 I nie wie, gdzie mu wypadnie
 Bez noska polożyć głowę.

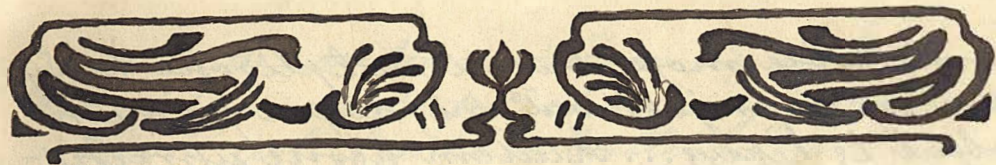
On nie wie już ziemię porzucił
 I wędruje przez ten świat
 On w swój samotny urządzenie
 Bez trawy idzie, wesoło -

Adam Strupka.

O. N. C.

Spis rzeczy.

Kwiat ostu - Ból	211.
Plac pustynnych liw - Sep.	220.
Wiejski lekarz - Leucik	221.
Opowitniejaci - Rawick	229.
Stary myslivy - Longinus	230.



Ból.

Kwiat ostu.

(Wzrostki z pamiętnika Filarety.)
(Rok 1909.)

Pracę tę poświęcam Lencikowi w do-
wód głębokiej przyjaźni i uznania
dla jego kaciegów nad dobrem Koła.

1.)

16 kwietnia. (piątek.)

Byłem na lekcji matematyki
u Łoski... Dobra dziewczyna... Żywa jak i-
skra, wiecznie uśmiechnięta, a taka je-
szcze naiwna w swoich poglądach na świat
i życie...

Imiać mi się chce, gdy przypomnę =

mnę sobie moje obawy i wątpliwości, kiedy
 Zasięk zaprojektował mi, abym po nim
 objął tę lekcyę... Miałem pewne uprzedze-
 nie do kobiet... Uważałem je za istoty lek-
 kie, bezmyślne, interesujące się tylko sprawa-
 wami serca. Prawda, że Łoska strzelała
 kalotnie, oczkami na wszystkie strony, ko-
 cha się ustawicznie w coraz to nowych ide-
 alach, a mnie się kanudra kwierzenia
 mi w najskrytszych tajemnic - ale obok
 tego posiada niezrównane kalety... Prze-
 dewszystkiem cenię w niej gorące oddanie
 się sprawie narodowej, skutkość i ener-
 gię w robocie konspiracyjnej, przychem
 nie kradwa ani kszty karokumiałości,
 chęci popisywania się owocami swej pra-
 cy - owsem cechuje ją naiwna prostota
 i bezwzględna szczerosć.

Dzisiaj po obrobieniu kadeń, oświa-
 dkiła mi tajemniczo, że w tych dniach
 myśli kwerbować do koła niejaka Mary-
 ryę Wolską...

- Czy to podobna bałamutka, jak
 panna Łoska? - uśmiechnąłem się, gro-
 żąc jej palcem. - Wstyd! Doprawdy, aby
 Polka w ten sposób niepotrzebnie ka-
 przałła głowę sobie i innym...

- Pan nie uznaje miłości?

- Nie postanawiałem się nad tem...
 W każdym razie przekonany jestem, że miłość jest tylko balastem, przeszkodą, kłepującą samodzielną człowieka...

- Stupstwa pan plecie... Miłość jest właśnie podżycem do pracy. Daje siłę, energię do podjęcia jak najwięz -
 kszych wysiłków... Ale o Maryę może pan być spokojny - to chodząca powaga...

Cieszy mi się szybko rozwój koła żeńskiego... Nie, darmo, bo dwa miesiące temu, jak na zebraniu lilio -
 wych, zaprojektowała jedna z obecnych panierek, rozwiązanie organizacji z powodu braku odpowiednich lokali. Miałem wtedy sposobność przekonać się o energii Łoski... Zaprotestowała stanowczo... Sprawa długo, aż w końcu znalazła rozwiązanie... Jakas staruszka, podobno jej ciotka, przewoliła wobec gorących prośb dzień w dzień, na odbywanie zebrania w jej mieszkaniu, co tembardziej było bezpiecznem, że głucha starowina niczego domyślić się nie mogła... Dostała więc lokal, schronienie dla biblioteki... Więcej nie było potrzeba...

Łoska rozwinęła swoją działalność... Zebrania odbywały się regu -

larnie, następ członkiń powiększał się z dnia na dzień, tak, że dzisiaj liczyć go można na Dziesiątki... Prawda, że nie mało pomocy miała w Mietchu i w kilku innych członkach naszej organizacji - ale pomoc ta ograniczała się tylko do udzielenia wskazówek w kierownictwie, referowania ważniejszych spraw i do udzielania materialnej pomocy...

Hej! Zmieniają się stosunki nowosądeckie! Przed kilku laty - mowy nawet nie było, o jakimkolwiek niepodległościowym kierunku myśli - społeczeństwo łongło w objęciach konserwatyzmu i ugodywosci! A dzisiaj? - Gdzie tylko rzucić okiem, wszędzie zobaczyć można licę płomiennę, drgające chęcią czynu, ożywione wyższymi pragnieniami, a nie mała w tym wypadku kasługa położyło koło nasze. Ono pierwsze rzuciło hasło pracy w szeregi studentki, ono wzniosło wysoko, ponad głowę otoczenia standard narodowy, wbrzydany kwią i murgiem ostatnich męczenników wolności! Pod jego wpływem kaszerpiła się Idea Rewolucji, idea walki o Niepodległość, karcając umysły nawet najbardziej apatyczne gorączką energii i biermierz-

na Miłośćią Ojczyzny!...

Ojciec mówi mi nietaż, że będzie się tylko... że pasłepia mię moje własne ukrucie, a fantazya młodzieńcza maluje obrary, które pblendną kiedyś pod promię niarni rzekywistości... "Tak było i da" "wniej" - postarza studeząc mój kapai - "Tja tak samo marzyłem smując pla" "ny, skrzydłami bijące o niebo... I mło" "drieri taka była, jak Drisiaj... Tylko pro" "ka pycia kwarygia serca, ostudriła ka" "pał"... - Nie wierzę! Bo żeby tak potra" "fiło skarlei pokolenie ojców, tak wy" "przeć się ideałów młodości - aby dri" "sij spokojnem okiem patrzyć na rozwielmoiniające się wpływy kabor" "ców, na misik braci pod rzędami pół" "nocnego barbarzyńcy i na to nawet pięści nie ścisnąć - to chyba woda nie krew płynię w żyłach ojców naszych, która crasem tylko pieni się i burzy gdy przypadkowo uderzy o skały pod" "wodne... a potem płynię miarowo, spokojnie!...

Byn świadery, o pile ukrucia...
Dowodem tego historya porozbiorowa,
krwawe walki za wolność w roku 1831
i 1863^{im}... Przyszłość osądzi wartość

obecnego pokolenia, które jeśli pójdzie śladem ojców - wymarie się z pamięci potomności, okryje pogardą i milczeniem!...

Rok 1905 był pobudką, kwiastującą czas burzy... Nadchodzi ona, kryjąc się jak wilk skatujący na swoją ofiarę, aby potem niespodzianie oslepić, ogniem błyskawic, zagłuszyć gromem piorunów spróchniałe społeczeństwo! Czasem tylko otrze się bokiem o krańce Europy, mrucząc łysizcem strzałów i jęków mordowanych, jakby dla przyciśnięcia uwagi na swoją obecność i wieczną gotowość... A kiedy nadzieje chwila stanowiąca - biada tym, którzy łaknąc dobrobytu i skarbów ziemskich zapomną o posterunku, wyznaczonego im przez obowiązek, różną broń i kołły i grzać się będą do słońca na piełonej murawie! Biada tym, którzy wiasnemi rękami kagaszę świętych żnicz i węglami jego ogrzewać będą domowe ogniska... Biada im! Bo piorun uderzy w ich stoniane chaty, ciała ich rzuci na pastwę parioznemu ptactwu!... I nikt nie ukali się nad losem nieszczęśliwych!

Tylko wiatr kajęcy grobową pieśń
nad popieliskiem, dawnych siedzi-
nad stosami bielejących kości...

17 kwietnia. (sobota.)

Nieraz zadaję sobie pytanie, czemu
właściwie ma być, dla mnie parni-
żnik?

Chciałbym widzieć w nim, obraz
własnej Duszy, ale przelać na pa-
pier własne myśli, własne uczucia
to tak trudno, że nieraz łamię pió-
ro, rzucam keszyt, poprzysięgając
nie wrócić go więcej do ręki... „Piero nie,
miłosiernie skrzyj, papier przeleci,
ale nie słucha...”

Wydaję w sobie potrzebę siły, rozpie-
wającą Duszę, szukam nad serca i nie
mogę znaleźć dla niego wyrazu!
Nieraz przetrzucam kartki parni-
żnika i to co przedtem pisałem
„najlepszą wiarą, że siebie samego
odtworzyć — najdłużę głępiem „płtu”
czym sileniem się na ton, górny,
poetyczny...”

Wydaję w życiu kawałek się tak dzieje,
że słowem pogodzą tem, co przed-

tem uważała na piękne i ~~sk~~ szlachetne? Czy to jest, objawem ustawicznego Doskonalenia się umysłu, budźkiego? - Nie wiem... Wspomnienia z lat, trzycinnych stanowią dla każdego najmiłszy temat, do rozmyślań i wieczornych pogawędek w gronie serdecznych przyjaciół...

Czyby to tylko była litosc nad swoją naiwnością? Chyba nie... W tych wspomnieniach, w tej prostocie myśli musi być coś istotnie pięknego, kiedy ktoś, wiek, do nich ustawicznie powraca i energię osłabioną nimi, odświeża...

Może i ten pamiętnik będzie kiedyś po latach wielu, dla mnie takim źródłem odraźającym, z którego spryskać będą siły do dalszej walki życiowej, chociaż dzisiaj nim gardzę i na swój nie pokrytuję?...

A czy to z drugiej strony nie będzie margajstwem, pielęgnowaniem w sobie słabości? ... szukać otuchy w trzycinstwie, a nie znajdować we własnej Duszy na tyle dodatkich czynników, aby wypełnić pustkę umysłu?...

Człowiek jest tak słaby, że mimo woli szuka podpory koło siebie i korzysta z każdej drobności, chociażby ta

nawet zgubić go potem miała... Mówią:
 tonący chwycił się brzozy... To: życie!
 Wieczna obawa czegoś, co ma nastąpić,
 wieczne niedowierzenie swoim siłom,
 a gonitwa na kłudę, która ustawicznie
 koło na krąg i nigdy pochwycić się
 nie da... Łdaje się nam nieraz, że
 już, już jesteśmy w pobliżu, że już chwy-
 tamy koniec jej szat - a tymczasem
 w ręku znajdujemy białe uschnię-
 tych ostów...

Boję się życia...

Chwilami wierzę w swoją gwiaz-
 dę - ale na dnie kryje się jakaś is-
 kierka obawy... Co najdalej poza tą ka-
 sioną, która się jutrem narzyna?...

Może...

Gwiazda płonie dzisiaj jasno,
 jak płoty, gwóździ wbity w strop nie-
 ba, ale zgasnąć może... I co po-
 tem?

(C. d. n.)



Sęp.

Placz pustynnych lir.

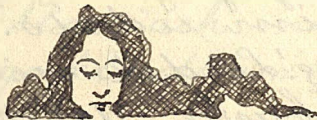
— Słuchaj! gdy cię ten świata wir
Ofiarą swą uczyni
To się przysłuchaj Dziwiskom lir,
Co płaczą po pustyni...

Gdy pierzchnie pięknych marzeń rój
I sny czarowne wbledną...
Przysłuchaj się! — pocięchy kdrój
Orzeźwi duszę biedną.

Kiedy już przysnie świata czar
I tęże goly przygasną —
Tam szukaj twoich marzeń! wiar!...
Tam znajdiesz duszę własną!

Nie — słuchaj! stój! Tam nie chodź! nie!
Bo liry te nie Dziwiskę
Kłodyczką harf — co w kłotym śnie
Wrzaskają pieśń młodzieńczą...

Tam w huraganów wściekły tan
 Porwanym... wyschną oczy -
 Tam gromy się... wylecą z ran...
 Krwią twą - się piasek zbroczy.



Lemik.

Więjski lekarz.

Obrzek ten poświęcam ko-
 chane mu bratu Józefowi.

Było to jakoś z jesienią. Niedziela,
 leżąc po południu przy książce, lecz
 myśli nie chciały się kleić i skupiać.
 Patrzałem tedy przez okno na ludzi
 wykopujących ziemniaki, na dzieci
 igrające pod murem okiennym. Janek
 wodził rejs. Zachciało się mi grać
 w pliskki, lecz nigdy przegrać nawet
 nie myślał. Dlatego dobrał sobie ko-

lelekię do swego boku, a dwie Drieworynki wysłał na „gudrie”. Szczęście mi jednak nie służyło, gdyż pierwszy raz podbił na piątkę, a uradowane drie-
wczęta biegły, by go jak najprędzej „skuć”, i to się im udało.

— Nie chcę! Luddek nie grajmy — ja się tak nie bawię, dej palestrę — pójdę do domu.

— Alexi Janek (mówi siostra) ja cię skućam, teraz ma grać Luddek.

— Ale nie chcę! Skuj jeszcze raz — oliwa wyjdzie na wierzch.

Probuje tedy siostra jeszcze raz „skuć”, lecz nadaremnie, bo pliska przeskoczyła palestrę.

— No widzisz Majka, oliwa wyszła na wierzch.

— No to se graj, i tak cię skuje (mówi grzeczna siostra).

Trzeciwsieć pochwili chłopcy poszli na „gudrie”, a driewczęta poprawiły dotek.

— Janek, ile macie?

— Pięć, dwadzieścia.

— Nie cygańcie — tys zrobił piętnaście, a Luddek nic.

Nie mogłem już słyszeć na prem

skorczyła się ta gra, bo do pokoju wleciał bosy chłopiec i zdyszany wymówił przędko:

— Proszę pana, Józek se kłamał no, gę.

— Co! gdzie?

— Na błoniach mocował się u Wal-kiem; już go kładł i się se stanął —, a noga łzas.

Włóżyłem przędko czapkę i wybiegłem szybko u domu.

Brata tymczasem przeniósł pani S. do swej chaty, a włóżywszy na łózkę, powoli udejmowała u jego nogi buta. Biedak krzyczał u niebogłoso. Dopiero przy pomocy strapionej matki, obandażowaliśmy jako tako nogę, a wzięwszy go na plecy, nosłem powoli do domu. Żył byłem na niego. Dlaczego się mocował? Po co poszedł na błonia? Dlaczego był nieostrożnym? — myślałem przyspieszając kroku. Dopiero włóżywszy Józka na łózkę, uczułem, że się wielce zmęczył. Lecz nawet nie miałem czasu głęboko odetchnąć, gdy we- wsząd zaczęły się garnać skute na biedę człowieka sąsiadki, kumy, ciocie i t. d., i nikt radzić co będzie najlepszego. Jakoż prawie jednogłośnie uznali u najwęższej biegłego „u naprawianiu

nóg i rąców "sędrwego Faron, chłopca z Jamnicy i do niego wysłały mię jako najsprawniejszego.

Pisicim się tedy w drogę. Omija-
jąc gościńce, przesadzałem rowy, wy-
szukując najprostszycy ścieżyn. Już kil-
ka chatup z Jamnicy przeszedłem, lecz
nigdzie nie zobaczyłem niżej Duszy...
Wchodzę tedy, do najbliższycy Dwi, pu-
kam - jakoz ukarała swą rozrochra-
ną głowę stara baba.

- A coż wy tu chcecie? zagadnęła

- Powiedźcie gospośiu, gdzie mie-
szka Faron.

- Ale który? czy ten co liczy lu-
dzi?

- Ten sam.

- To już panie ni mają daleko.

Pójdziecie se chań tą miedzą i karak
na górę.

- Dziękuj!

Góra była jednak stroma, kieleni-
ły się na niej nacie karpiele, osty szty-
wne wznosiły nad trawę głowy, a wiatr
owiał me spocone kroło na przycie
góry, a smutne brzozy powiewały kół-
temi warhoczami. Zdala wił się srebr-
ny Dunajec, z kominów fabrycznych u-

nosiły się dymy szare, nad miastem.

Wśród niskich i ubogich przydomków pleśnią pokrytą chałupę wśród krzewów tarniny, dzikiej róży, brzošek, karłowatych jabłoni i kilku śliw. Na je-dnej kaski w nich wisiała w rozłożone, mi skrzydłami niezływa wrona.

Długo dobijaniem się, kanim, otwarły się spróchniałe drzwi... Sien pusta... nikogo nie ma. Pukam dalej,...

- A która tak kołace - doleciał mi słaby głos.

- To ja! zawołałem.

- Wnijdziecie żywi.

Wśródtem tedy rozglądając się dookoła, nie mogłem jednak przyzwyczająć oczu do ciemności, jaki w tej izbie panował. Izba była niska, pełna dymu, który przyprowadził mnie do kaszlu, a oczy pobudził do łez. Na nalepie płonął ogień podsycany gałgarkami tarniny, a przy nim plecami do wniścia wrocoony siedział sędziwy chłop, na jego kaski kolanie wsparła głowę stara kosa patrząc na swego pana. Dwie włosy spadały na je-

go rozłożyłyste ramiona, drżące ręce wyciągnął nad płomieniem i grzał się, do-
rzucając co chwilę gałeczki.

- Dobry wiecór wam, ojcie!

- Dobry wiecór, posępnyim głosem powoli wypowiedział. Skądże was Bóg prowa-
dzi?

- Duchem lecę z miasta i nie wiem
nawet, czy pan się kwie Faronem.

- Tak mię nazywają. Siadźcie se
na stołku (zapraszał mię przysuwając
stary trójnog.)

Usiadłszy, byłem przynajmniej
wolnym od dymu, mogąc się lepiej
rozejrzeć, rzucałem wzrok na okopcia-
łe ściany, na małe okienko, kłób, wią-
zki piela porozrzucaane po powale, a pró-
knie kwóciłem osy na niemistą twarz
samego lekarza, którą kłóbił orli nos,
regularne rysy, a z proka kosmyków
włosów wychylały łagodnie niebieskie
osy.

- No wiecie, ojcie, ja do was po pro-
śbie. Stało się nieskreszenie. Brat klamał
nogę i proszę was bardzo, chodźcie do
nas, to przyboskiej pomocy ulżyście nie-
skresliwemu chłopcu.

- A gdzież wy mieszkanie?

- Zaraz koło kolei przy barakach,
które możecie dobrze znać.

- O - to setny kawał, a ciekawych
ciężka zimnica już do trzech dni trzy-
ma i trzęsie nim, kołace całym cia-
łem, że zda się duch wyleci... Zimni-
ca, to najgorsza choroba, chodźci bez
pola i wiatrem, a serce to ci ma i lo-
du, jak jeno się o człowieka otrze... To
ile i nim, jak nie umie się radzić. Ale
ja, od ojców słyszałem, że trzeba się
grzać przy ogniu i łarniny tak dłu-
go, aż się już się przemoże, ale trzeba
na to dawać pozor, by gąsienki były
suche. Ale u mnie to co innego, ciek-
ka napastuje starość to i nie drwota
że się go ta wiedźma trzyma. Poszedł-
bym chętnie do was, bo to przyjemnie,
jak się biednemu pomoże, ale widzi-
cie sami, że bym tyli kawał nie u-
szedł po stronnych górach. W dół bym
ta jeszcze klął, a narad to nijak.
Dobrzeby to było, jak byście mi go tu
na jakim wózeku przywieźli, jak
ta nas nie będziecie mogli, to mi
tymczasem przykładajcie rękę, co
wam dam i czekajcie, jak mi z zim-
nica odleci, to pojedę w dół.

- Ej ojcie, trudne warunki sta-
wiacie, ale polecę chyżo k wieściq, gdyż
się już mroky, a mnie tam jeszcze bę-
dą potrzebowali.

Na odchodnem kęgnając się k nim,
chciałem go ucałować w rękę tak mi się
wydał wielkim i powaźnym.

- Kęgnajcie ojcie! niechaj was Bóg
uwolni od tej przeklętej choroby.

- Idźcie k Bogiem!

Wyszedłem tedy, a kora uderzy-
wszy w drzwi głowa, kamkuszka je ka-
mna.

Zmrok rozpanoszył się po górach,
Łącz tysięcznym światłem kabłysnął
pies k wyciem, odprowadził mię do
drogi, ja zaś k myślą o starym le-
karku pędziłem przez ugory i
ścierniska.



Kawicz.

Q, kwitniejące...

Q, kwitniejące, purpurowe róże!...
 ... i śmiech Twój srebrną, toczy się kaskadą -
 wino się pieni - a na skroni się kładą
 ust kwitniejące, purpurowe róże...

.. Kórawie lecą po niebie gromadą
 i skrzydła kopią w słońcu, w niebparurze...
 ... ust Twych kwitnące, purpurowe róże...
 ... kórawie lecą po niebie, gromadą...

Niechaj się świszą wina pełne kruise -
 i śmiech, co srebrną, toczy się kaskadą -
 i sny-kórawie, co w dal lecą bladą -
 i ust Twych krasne, kwitniejące róże...



Longinus.

Stary myśliwy.

Tam w boru między drzewami
 Bzikimi ubran krzewami,
 Stał domek biedny, oddarty,
 Dach jego na pniach oparty,
 Na wszystkie ruszał się strony.
 Nad nim gnieździły się wrony
 Ukryte w świerków koronie.
 Pies zaś, jakby mówił: „Bronię
 Tęgo, pana mego domu!
 I przyjsię nie pozwolę komu
 Nieznajomemu.” Pan wyszedł;
 Stary trzymał na ramieniu,
 Dwururkę i do psa przysedł
 Łaskocząc go, siadł na kamieniu.
 Wtem wybiegł młody chłopaczek;
 Na głowie jasnej kotpaczek
 Widniał, borsuczki, lecz ładny.
 Chłopczyk był grzeczny, ukladny,
 Choć w puszki lesnej chorany.
 Przybiegł, do starca i prosi:
 „Opowiedz dziadku kochany,
 Jakto żołnierz polski knosi
 Trudy, jakto wa Polskę ginie!?”

Robaczku! Ty Ciebie nie minie,
 "Bo gdy urośniesz na meja
 Walerac, nie wstydz się oreja!
 Do chocią przyszłoby kginac
 Za tą sprawę swistą, łobie,
 Pomysł, że nie można minac
 Lmiewi; ona w kardej, dobie
 Przyjdzie i nie rycia przelnie;
 Lecz nigdy daremnie nie trnie!" -
 Lecz opowiedz, driadku kochany
 Te bitwy w ktorych miałeś rany,
 Bo gniew mię ogarnia dysząc,
 Gdy Moskale wbieli w siebie pite
 Pike. Wtedy moje serce dysząc
 Z palu, jako dziecię kwili.
 Wówczas wszystko uczyniłbym
 Z wrogami dzielnie pię biłbym!"
 Ten wstruszony uczyłwał
 Chłopca, dał mu krzyk pastugi,
 Który ten na pierci schował.
 Wtem ryk przeciągły i długi
 Przerwał im opowiadania,
 A potem jęki, wołania
 Zmieszane ze strasnym rykiem.
 Harcerz porwał Dwururkę swą
 I pobiegnął miejsce na krzykiem.
 Tam poszybł widok, przy którym mra,
 Łolunki i mrozi krew w żyłach

Więc podniósł strzelbę i strzelił.
 Wtem ryk dał się słyszeć w tyłach *)
 Ogłusnął się; tam się bielił
 Jasny kędziór jego wnuka.
 Wtem kniki, nisz, oczyma szuka
 I widzi jak kwierz straszliwy
 Rozszarpał jego chłopczykę.
 Ach! Ach! głos, nie, ryk prawdziwy
 Wydarł się i kmatę na krzyżę, **)
 Bo w tejże chwili się chwili
 I cios straszliwy kabił kwierza.

Klęcząc kłęcz w oku się chyli
 Wziął martwe ciało i pierze
 Ku chatce; i do towarzysza wierne
 Wierne, który mu pozostał.
 Tam je pogrzebał. Nie wskrzesza
 Je. Wie, że sam tylko pozostał
 I tą chatą pochyla i pseni.
 I k książkę, której tytuł: „Bern”
 Opis jego walki i życie,
 Którą w Moskwie dostał ukrycie,
 I k myślę o swym chłopczaku,
 Co go wykił mieniąc: „Robaczku” *!
 Ty w tem bosuwym kołpaczku!”

*) przenosić: w tyle.

***) na chwilę.